

Ona

Gdy ją przywieziono, żaden z nas nie przypuszczał, że to się tak skończy. W jakimś stopniu czuję się odpowiedzialny za to, co się tam wydarzyło, mogłem coś zrobić, ale się bałem. Nie, stchórzyłem – gdybym powiedział, że się bałem, to tak, jakbym chciał się z tego wytłumaczyć.

Chyba powinienem się przedstawić, ale tego nie zrobię. Czy to ważne, jak się nazywam? Ważne jest to, co chcę powiedzieć, co wydarzyło się w tym cholernym miejscu i co, Bóg mi świadkiem, działa się naprawdę. Wystarczy, że mówią na mnie Cygan, no nie wiem, w kogo zapatrzyła się moja matka, zanim przyszedłem na świat, ale musiałem przyznać, że mogłem spokojnie grać jakiegoś Cygana w filmie, gdyby coś takiego mi zaproponowano. Tak, ciemna karnacja, oczy piwne, zarost tak czarny, że czasami kumple mieli niezły ubaw, gdy ktoś powiedział mi, iż smaruję się pastą do butów. Nie miałem zielonego pojęcia, dlaczego to ich bawiło, i przyznam, że gówno mnie to obchodziło; już od samego początku nie lubiłem tych typów, byli jacyś dziwni. Czy ja wcześniej napisałem coś o kumplach? Och, obiecuję, że się to więcej nie powtórzy, pisząc w ten sposób, miałem na myśli: koledzy, znajomi z pracy. Na żadnym piwie z nimi nie byłem, może być?

Przez prawie dwa lata pracowałem w tym samym chorym miejscu, tak chorym, jak ludzie, którzy tu byli. Mieliliśmy najciekawsze przypadki chorób psychicznych, jakie były możliwe. Bywało i niebezpiecznie; kiedyś był tu jeden facet, który trafił do nas po tym, jak poćwiartował jakieś dziecko, po czym zrobił sobie wisiorok z palców. Często traciłem cierpliwość, chciałem mu przyłożyć, ale

nie mogłem nic zrobić, miał taką obstawę jak sam pieprzony prezydent. W ogóle jak mogło dojść do czegoś takiego? Często patrzył tym swoim pomylonym wzrokiem z uśmiechem na twarzy i równie często żądał zwrotu swojego wisiorka, bo jeśli go nie dostanie, zrobi sobie kolejny. Jak ten śmieć mógł w ogóle cokolwiek żądać? Ale dość o nim, niestety nie był on pierwszym ani ostatnim. Taką miałem pracę czy mi się podobało, czy nie. Na początku mojej kariery salowego naprawdę mi się podobało, praca sprawiała mi tyle satysfakcji, ile wystarczało. Czasami kazali mi pozmywać podłogi, ale przeważnie pomagałem im przytrzymać bardziej rzucających się pacjentów. Nie, muszę przyznać, że nie wszyscy spośród tej kupy czubków byli nie do zniesienia, gdybym tak stawiał sprawę, nie byłbym szczerzy. Lubilem Mokrego, to był gość. Skąd Mokry? Wiedziałem tylko, że wydawało mu się, że przychodzi do niego śmierć i facet bał się tak mocno, iż na okrągło chodził w wilgotnych spodniach. Jednak był z niego kawał chłopca, miał coś ponad metr dziewięćdziesiąt, po pięćdziesiątce, włosy rosły mu jedynie na bokach, gdyż jego śliczna łysinka rozrastała się sukcesywnie już od kilkunastu lat. Te włosy, które mu jeszcze pozostały, były, podobnie jak sumiaste wąsy, białe jak śnieg. Jedynie jego brwi pozostały ciemne i tylko one świadczyły o tym, że prawdopodobnie osiwił przedwcześnie, z powodu jakichś ciężkich przeżyć. Lubilem z nim gadać, gość był w porządku, to on kazał mi którejs nocy sprawdzić, bo dzieje się coś złego z Usią. Ale o tym później, wszystko powoli i po kolei.

Mokry był pierwszym pacjentem, z którym zacząłem rozmawiać, potem było jeszcze dwóch: Mieszko i Pati. Mieszko panicznie bał się ciemności, płakał i krzyczał, gdy tylko gasiło się światło, a on nie zdążył jeszcze zasnąć. Był młodszy od Mokrego o jakieś piętnaście lat, niższy o pół metra. Nie, nie pomyliłem się, facet miał półtora metra. W zasadzie to on zaczął ze mną rozmawiać, któregoś dnia zapytał mnie, czy nie mógłbym gasić światła, gdy on zaśnie. Zgodziłem się i od tej pory pilnowałem, kiedy zasypiał. Czy brakowało mi cierpliwości? Czasami jak jasna cholera, ale kiedy Mieszko nie mógł zasnąć, opowiadał mi życie jego ulubionego króla polskiego, wtedy i mnie się nie nudziło. Historia mnie absolut-

nie nie interesowała, wisiało mi, kto i z kim się żenił czy wgrzywał bitwy i wojny, ale Mieszko lubił dodawać czasami coś od siebie. W zależności od jego nastroju czasami historia była przesycona krwistymi opisami, czasami ta sama historia niosła ze sobą treść tak przesiąkniętą erotyzmem, że nieraz wcale się nie dziwiłem, dlaczego gość bał się ciemności, po prostu obawiał się tych ogromnych cycków, które zmiażdżyłyby każdego, kto by się pod nimi znalazł. Mieszko z twarzy przypominał papugę: była chuda, długa, a broda wysunięta do przodu. Streszczając, facet nie był za potężny.

Wspomniałem jeszcze Pati. Tak, tę staruszkę wszyscy lubili, ale nie wiedząc dlaczego, mnie lubiła najbardziej. Patrycja Milewska, bo tak się nazywała, nie była zwykłą pacjentką. Owszem, potrzebowała opieki lekarskiej, ale nie tak bardzo jak pozostali. Była matką byłego dyrektora, który choć tu już nie pracował, nadal miał coś do powiedzenia. Czy był złym synem? Z całą pewnością nie, ponieważ czasami miewała jakieś ataki, które polegały na wykrzykiwaniu o nadejściu końca świata, czy coś tam podobnego. Najciekawsze było to, że po ustaniu ataków nic nie pamiętała, jakby ktoś przez nią przemawiał – ale dalej w to nie wnिकam, taka była i już. Urok tej milej starszej pani tkwił gdzieś pośrodku między jej wesołym usposobieniem a sposobem ubierania się. Była uśmiechnięta i życzliwa, lubiła ubierać się modnie, uwielbiała słuchać komplementów, zazwyczaj na szyi miała korale, przeważnie w tym samym kolorze co klipsy, nosiła dość współczesne garsonki, które podkreślały jej zamiłowanie do ubioru. Ach, byłbym zapomniał, jej włosy zawsze były barwione na kolor zielony lub czerwony, w zależności od... Nie wiem, może od pory roku, pogody, kwadry księżyca... nie mam pojęcia. Wiedziałem jedynie, że robiła jakiś wywar z ziół czy warzyw, który potem wcierała w głowę.

Pati także przeczuwała, że z Usią coś się dzieje, i gdy mi o tym powiedziała, wtedy jeszcze nic nie wiedziałem; pomyślałem, że rozmawiała z Mokrym i tyle. Duży znak zapytania nad moją głową pojawił się wtedy, gdy dowiedziałem się, że nie mieli możliwości ze sobą rozmawiać, Pati na weekend wyjechała do syna.

Moim miejscem pracy był stary, wiekowy budynek, który był kiedyś hotelem dla lordów i wielkich bogaczy, ale i tym już nie

chciało się inwestować w ruinę, w jaką zamieniał się dom bez systematycznych remontów. Budynek nieco zbrzydł, ale nadal wyglądał dostojnie, może dlatego, że z zewnątrz prezentował się dużo lepiej niż w środku. Okien miał wiele – ale o tym za chwilę, teraz chciałbym skoncentrować się nad murem, który wybudowano niespełna rok po zamianie hotelu w to, czym było do chwili obecnej. Tak, mur był i tyle. Moim skromnym zdaniem ktoś, kto go zrobił, był zupełnym idiotą, zupełnie nie przewidział, że do reszty pasować będzie tak, jak świni siodło. Potem starano się to jakoś naprawić, posadzono żywopłot, wtedy było już znacznie lepiej. Gdy tutejsi mieszkańcy zaczęli jeszcze sadzić drzewka i kwiaty, stało się naprawdę super. Wspomniałem, że w środku szpitalu nie było zbyt ładnie. W tym określeniu nie byłem jednak precyzyjny, ściany, podłogi, sufity były w porządku, gorzej rzecz miała się z kanalizacją i ogrzewaniem w czasie zimy. Jednak w tym miejscu się zatrzymam, nie chciałbym zbyt rozpisać się o kupie gówna, która czasami wyciekała z rur strumieniami.

Urszulę Dyrdę przywieźli piętnastego czerwca tysiąc dziewięćset szesnastego, to był ten dzień, w którym zupełnie nic się nie działo, już od tygodni panował tak potworny upał, że nie wiem kto – na pewno ktoś bardzo mądry – kazał, aby pootwierać wszystkie okna, padło oczywiście na mnie. Byłem już w połowie drogi do skończenia (chyba ze sobą – gdyby kazali mi potem je z powrotem zamykać), gdy wyjrzałem przez okno na dziedziniec i zobaczyłem ją po raz pierwszy. Była piękna, długie, kruczoczarne włosy opadały jej aż za łopatki; wtedy jeszcze nie widziałem jej niebieskich oczu, z których bił jakiś blask, jakaś moc, której nie mogłem opisać. Usta miała drobne, czerwone, tworzyły pewien kontrast z jej bladą, wymęczoną twarzą. Chyba się uśmiechała, ale było w tym coś nienaturalnego, najwyraźniej była pod wpływem leków, tak, na pewno. Ubrana była w szarą bawełnianą sukienkę, która przykrywała całe nogi, przez co stopy były prawie niewidoczne. Stałem chyba pięć minut, patrząc tylko na nią, miała może dwadzieścia pięć lat. Przyznam, wywarła na mnie ogromne wrażenie. Wtedy coś się stało, coś poczułem, przeszył mnie dreszcz. Pamiętam to dobrze, do końca swojego życia będę to pamiętał. Gdy stała na

dole i nic nie wskazywało na to, by się coś wydarzyło, przez chwilę wydawało mi się, że jej ciało nie dotyka ziemi. Serce chyba mi sta-
nęło i dokładnie w tym samym momencie jej wzrok odszukał moje
oczy wśród chyba trzydziestu okien, bo nigdy ich nie liczyłem. Zo-
baczyłem dokładnie jej usta, spoważniały, w mojej głowie usłysza-
łem jakiś śmiech, na początku myślałem, iż to któryś z pacjentów,
ale ta myśl odeszła tak szybko, jak szybko się pojawiła, śmiech był
szyderyczy, cyniczny. Słyszałem go kilka sekund, do chwili, kiedy
kazali jej wejść do budynku. . .

Myślałem nad tym, co mnie spotkało. Wtedy wymyśliłem sobie,
że to przez ten upał, zmęczenie i nudę, która lubiła mnie czasem
nachodzić. Jak bardzo się wtedy myliłem? Wolę o tym nie myśleć.
Kolejny dreszcz przeszył mnie wtedy, gdy dowiedziałem się, na co
Usia cierpiała, wtedy też przypomniałem sobie o swoim widzeniu,
prawie zrobiłem to samo, co Mokry robił średnio raz na pięć godzin.
Tyle że wtedy uzmysłowiłem sobie w końcu, iż jest to bzdura, mało
istotne zdarzenie, wręcz głupie. Zupełnie bez sensu.

Oni

Na samym początku napisałem, że czuję się odpowiedzialny za to, co zaszło w tym szpitalu. Wszystko się zgadza, ale byli jeszcze inni, bez których zapewne nic by się nie stało, to oni sprawili, że wydarzenia potoczyły się tak, jak się potoczyły. Może nie przedstawiam teraz tego wyraźnie, ale później postaram się to zrekomensować. Pisząc „oni”, mam na myśli czterech facetów, którzy, podobnie jak ja, pracowali w tym miejscu; oni – trzech lekarzy i jeden salowy, który chwalił się, że zaczął tu pracować czternastego kwietnia dwunastego roku, w tym samym dniu, gdy zatonął Titanic. Do tej pory, czyli przez cztery bite lata, pieprzył ciągle to samo.

Nie wspominałem, że wszystkie te wydarzenia spowodowały koniec mojej kariery salowego? No to teraz właśnie przyszedł czas na to, aby to powiedzieć: potem się zwolniłem. To było ponad me siły. Pojawienie się Usi spowodowało wielkie zmiany, ogromne, to był początek końca.

W pierwszych dniu mojej pracy byłem pełen ambicji, marzeń i oczekiwań. Tak, zadziwiająco, jak bardzo człowiek potrafi dojrzeć w przeciągu dwóch lat. Wtedy wydawało się to niemożliwe, teraz dochodzę do wniosku, że świat jest pełen rzeczy, o których nam się nawet nie śniło. Postanowiłem zrobić wrażenie na dyrektorze, ubrałem się w najlepszy garnitur, który kupiłem za moje oszczędności. Pamiętam, że moja matka była ze mnie dumna, byłem pierwszą osobą w rodzinie, która dostała normalną, legalną pracę. Choć sprawa nie przedstawiała się tak prosto. Ojca nie pamiętam, rodzeństwa nie posiadam, więc rodzina, jak widać, nie

była zbyt liczna. Matka przy każdej nadarzającej się okazji miała się jakiegokolwiek pracy, której jednak nie było za dużo, często, gdy byłem mały, zabierała mnie na ruchliwsze ulice i tam zbierała pieniądze. Nie miałem jej nic do zarzucenia, po prostu życie jej nie rozpieszczało, a ja pojawiłem się gdzieś pośrodku. Tak, zacząłem pracę, uśmiech mojej matki i łzy w oczach, całe życie stawiała na moją naukę i choć nie szło mi za bardzo, to i tak była ze mnie dumna.

– Cześć, to ty miałeś dzisiaj przyjść? – spytał mnie młody mężczyzna, był chyba w moim wieku, dwadzieścia cztery lata, nie więcej. – Łukasz Bura – wyciągnął rękę, na jego twarzy malował się uśmiech tak ogromny, że aż nienaturalny.

– Cygan – odpowiedziałem, nie przedstawiłem swojego imienia, ponieważ chciałem, by moja ksywa i w tym miejscu była aktualna. Bura chyba był usatysfakcjonowany, nie nalegał.

– Zaprowadzę cię do dyrektora – rzekł, po czym ruszył przodem. Dopiero teraz miałem okazję mu się przyjrzeć. Starał się być człowiekiem poukładanym, ładnie ubranym, uczesany, grzecznym, guziki w koszuli zapięte. Tak, po prostu greczny chłopczyk.

– Czym się zajmujesz? – spytałem. Ogólnie dobrze, gdy zaraz na początku poznajemy nowych kolegów, od razu lepiej się pracuje. . .

– No cóż, obaj będziemy od tego samego – zrozumiałem, że dochodzimy do pokoju dyrektora, gabinet mieścił się na pierwszym piętrze, zaraz przy schodach. Byłem podniecony, pełen ideałów.

Bura gdzieś znikł, to było dziwne, mógł przynajmniej życzyć mi powodzenia, czy coś tam, ale nie wnikałem w to, nie było to tak istotne, przynajmniej wtedy. Stałem przez chwilę przed drzwiami, oczekując na jakiś znak, pocieszając się, że nie będzie tak źle. Tak, w tym czasie jeszcze nie mogłem być pewny, czy będę tam pracował. Trzeba przyznać, że się bałem, mamci pękłoby serce, gdyby okazało się, że. . .

Wszedłem do środka, pokój był niewielki, ale osobie, która go zajmowała, mógł wystarczyć. Po lewej stronie ujrzałem niezłą kolekcję książek, cała biblioteczka zajmowała miejsce od podłogi do samego sufitu; aby zajrzeć do pozycji z najwyższej półki, należałoby wcześniej podstawić sobie krzesło. Natomiast po prawej wisiały

cztery fotografie jakichś mężczyzn, były podpisane. Przeczytałem wszystkie nazwiska: Henryk Ukraś, Zygmunt Próg, Robert Milewski oraz Lech Kalwas. Ten ostatni siedział teraz przy niewielkim, skromnym biurku i przeglądał jakieś kartki. Srebrna tabliczka, która leżała tuż przy brzegu, również informowała, kto tutaj był szefem. Kalwas był potężnym mężczyzną, musiał coś ćwiczyć, gdyż tak idealnie wyrzeźbione mięśnie nie rosną tak po prostu. Miał coś ponad czterdziestkę, przez dość gęste czarne włosy zaczęły przebić się siwe, wszystkie zaczesane starannie do tyłu tworzyły idealną całość z krótko przystrzyżoną bródką. Przypomniałem sobie Bury – czy wszyscy w tym miejscu tak bardzo dbali o swój wygląd? Z pewnego punktu widzenia to mogło być chore, ale tylko z pewnego.

Zaraz, to na czym skończyłem? Ach tak, stałem przed dyrektorem i czekałem, gdy skończy grzebać w tych papierach, nie chciałem zaraz na początku spalić się jakimś znakiem niecierpliwości.

– Jesteś punktualny – rzekł cicho, lekko się uśmiechał. – To lubię i tego wymagam, choć nie sądzę, abyś miał okazję się spóźnić.

Najwyraźniej chciał pokazać mi, kto tu rządzi, gdyż tak odebrałem niepodanie mi ręki w geście przywitania. Nie powiem – tego się właśnie spodziewałem, ale to on był tu szefem, widocznie uważał, że tak będzie dobrze. Może wyjaśnię jego ostatnie zdanie. Otóż, moja praca wymagała ode mnie pełnej dyspozycyjności i poświęcenia, moja praca stawała się moim drugim domem, ponieważ tu miałem mieszkać – tak na wszelki wypadek, gdyby coś się działo. Czy byłem szczęśliwy z tego powodu? Nie za bardzo, ale co ja mogłem na to poradzić? Była praca, były pieniądze, był dach nad głową.

Nie, wtedy już coś przeczuwałem, tylko bałem się dopuścić taką myśl do mojej świadomości, za bardzo zależało mi na tej pracy. Tak na zdrowy rozum – czy do tej pory spotkałem osobę, która charakteryzowała się chęcią podtrzymania dialogu? Odpowiedź była prosta. Ujmę to jaśniej i prościej: nikt tu nie mówił, kiedy go nie pytano.

– Zaraz powinien wrócić Bury – odezwał się Kalwas, najwyraźniej w ten sposób mówiono na mężczyznę, z którym zamieniłem

już słówko. – Oprowadzi cię po budynku, powinieneś poznać pozostałych – facet mówił to tak bezosobowo, jakby robił to setki razy, rutynowo.

Czy dało się już zauważyć, że nie zdążyłem powiedzieć jeszcze ani jednego słowa? Od razu wyjaśniam, że to nie z powodu mojego zdenerwowania czy też tremy, gość po prostu nie liczył na to, że powiem cokolwiek, jakby to nie miało jakiegokolwiek znaczenia. Cóż, skoro dał mi do zrozumienia, że nie chce mu się mnie słuchać, postanowiłem zrobić mu tę przyjemność.

– Wprowadziłeś się już? – nareszcie dał mi szansę użyć strun głosowych.

– Nie pokazano mi jeszcze gdzie – odpowiedziałem. Mój głos brzmiał dziwnie, pewnie dlatego, że jeszcze nigdy nie czułem się tak nieswojo; facet był jednym z tych ludzi, w których obecności czujesz się jak na szpilkach, denerwujesz się, płacze ci się język, na twarzy pojawiają się wypieki.

– Nie? – udał zdziwienie. – Bury zaraz przyjdzie, zaczekaj przed drzwiami.

– Do widzenia – rzekłem, lecz nie usłyszałem odpowiedzi. I tak też w ciszy wyszedłem z gabinetu, znalazłem się za drzwiami.

Spotkanie z szefem dość nietypowe – to należało sobie od razu powiedzieć. Żadnych pytań w stylu: jak podróż, jak ci się tu podoba? Absolutnie nic. Postarałem się jednak szukać pozytywów, może Kalwas mnie sprawdzał, może gdy minie trochę czasu, te relacje się trochę zmienią, może każdy nowy pracownik musiał przez to przejść? To było naiwne, prawda? Teraz to wiem.

Z góry bez pośpiechu schodził Łukasz Bura – Bury. Patrzył na mnie w taki sposób, jakby domyślał się, jak wyglądała rozmowa, najwyraźniej on także odbył kiedyś taką wymianę słów. Podszedł do mnie i wziął ode mnie walizkę, w której miałem środki higieny osobistej, spodnie i trzy bluzki, wszystko, co niezbędne.

– Długo tu pracujesz? – spytałem, gdy ruszyliśmy, najprawdopodobniej w kierunku mojego pokoju, który, jak się później okazało, mieścił się dokładnie nad gabinetem dyrektora na drugim piętrze.

– Od kiedy Titanic leży na dnie – odpowiedział dumnie, jakby miało to w ogóle jakiś związek z jego pracą. – Nieźle, no nie?

– Absolutnie – nie chciałem, aby zabrzmiało to ironicznie, ale niestety tak właśnie się stało. Bury chyba się zorientował, lecz najwyraźniej mało go to obchodziło, gdyż uśmiechnął się trochę i nieco przyspieszył.

– Szef kazał mi cię oprowadzić, więc zostaw walizkę w pokoju, później się rozpakujesz – facet wyglądał na takiego grzecznego chłopczyka, lecz jego wypowiedzi nie brzmiały tak słodko, na takich ludzi z reguły powinno się uważać.

Tak więc zostawiłem wszystkie swoje rzeczy i weszliśmy na trzecie piętro. Na samej górze było zupełnie inaczej niż na pozostałych piętrach. Tam były korytarze jak w szkołach z internatem oraz pokoje, do których można było się dostać jedynie wtedy, gdy posiadało się jakieś uprawnienia, tutaj natomiast całe piętro (w zasadzie to było już poddasze, ale musiałem przyznać, że spełniało swoje zadanie znakomicie) podzielone było na cztery duże sale w ten sposób, iż wchodząc na piętro wychodziło się na malutki i wąski korytarzyk, mając po obu swoich stronach dokładnie po dwie sale. Aby dojść do tych całkiem skrajnych, należało przejść przez jedno całe pomieszczenie. Wszystkie sale oddzielone były od siebie ścianami z solidnie wykończonych desek, jedynie drzwi umożliwiały przemieszczanie się z jednego pomieszczenia do drugiego.

Bury postanowił oprowadzić mnie na razie po tych, które znajdowały się po prawej stronie, tam, gdzie nie było dwóch lekarzy, których zauważyłem zaraz, gdy tylko moje stopy stanęły na trzecim piętrze.

– W tej i następnej sali znajdują się pacjenci z zaburzeniami świadomości i stanami lękowymi tak wielkimi, że niektórzy z nich sami się do nas zgłaszali, bojąc się o siebie i osoby najbliższe – Bury zaczął powoli przechodzić między dwoma rzędami łóżek. Czuł się tu raczej pewnie. Gdy mijał już końcowe posłania, a było ich tutaj dziesięć, ktoś się podniósł. Jakaś starsza pani, wyglądała na bardzo sympatyczną. Mężczyzna przystanął, ja zaraz za nim.

– Kotuś mój śliczny, kiedy pójdziemy sobie na spacer? – spytała, jej oczy były pogodne, a uśmiech tak szczerzy, że chyba na-

wet książd nie byłby bardziej prawdomówny i naturalny. Musiałem przyznać, że zrobiło mi się lepiej, może ta praca nie będzie wcale taka zła; jeszcze trochę i przestanie mi zależeć na tym, w jakich stosunkach żyję z szefem.

– Pati, będziesz musiała trochę zaczekać, jestem teraz ździebko zajęty – Bury mówił spokojnie, jakby rozmawiał z dzieckiem, on także się uśmiechał.

– Ty nigdy nie masz czasu. A kto tam mi się chowa? – no tak, zauważyła mnie, ale zrobiła to tak zabawnie, że nie obawiałem się niczego. Czy wspomniałem już, że umiałem rozmawiać ze starszymi ludźmi? Nie, no więc teraz to napiszę – zawsze miałem do tego talent. Dzięki temu darowi czasami w domu mieliśmy jedzenia na trzy, czasami nawet na cztery dni. Gdy ludzie w danym dniu nie byli zbyt hojni, podchodziłem do staruszków i prosiłem o cokolwiek, jednak wtedy rozmawiałem z nimi po dziesięć, piętnaście minut. A gdy byłem jeszcze naprawdę mały, to bywało i tak, że miałem więcej słodyczy od dzieci, których rodziców było na to stać, czułem się wtedy taki dumny. . .

– To mój kolega, który będzie tu pracował – odpowiedział, po czym nieco się odsunął, aby staruszka mogła mnie zobaczyć. – Mówią na niego Cygan.

– Ach, Cyganek słodki, to może ty pójdiesz ze mną na spacer? – tego typu pytań się obawiałem, żartobliwie rzecz ujmując.

– On też jest ździebko zajęty – rzekł, ruszając w kierunku drzwi, które prowadziły do następnej sali. Kobieta powiedziała coś cicho i z powrotem położyła się na swoim łóżku.

Osobiście wolałbym sam wypowiedzieć się we własnym imieniu, ale skoro stało się tak, jak się stało, to już trudno, jednak uświadomiłem sobie, że ludzie pracujący w tym miejscu mieli jakieś odchyły, jeśli chodziło o rozmowy. Gdy można było prowadzić jakąś normalną konwersację, to trudno było wydusić przynajmniej trzy zdania, ale gdy się już coś zaczęło, to znowu nie dopuszczali cię do słowa. Chciałem się w jakimś stopniu pokazać, ale już na starcie zaczynano mnie eliminować. Tak, zgadza się, wtedy może tego tak bardzo sobie nie uświadamiałem, ale z perspektywy czasu wiedziałem na pewno, że tak właśnie było.

Bury otworzył drzwi i pozwolił mi przez nie wejść, jednak się zatrzymał, najwidoczniej doszedł do wniosku, że to wystarczy. Chyba miał rację, pomieszczenie było w zasadzie takie samo, choć mniejsze, łózek było sześć, stały w nieco większych odstępach niż tamte.

– Na końcu masz swój kącik – wskazał ręką na koniec sali, gdzie postawiono ścianę. Odgradzała ona jedynie część pomieszczenia, przez co nie było mowy o tworzeniu w ten sposób jakiegokolwiek pokoju. W ścianie tej zrobiono prowizoryczne okno, całość natomiast przypominało jakąś wartownię lub obserwatorium. – Znajdziesz tam biurko, krzesło i kupę papierów, które będziesz musiał czasami wypełniać.

– To wszystko? – spytałem, czułem jednak, że wszedłem mu w zdanie. Niech to będzie rekompensatą za brak możliwości porozmawiania sobie ze starszą panią.

– Czasami przejdziesz się w tą i z powrotem i sprawdzisz, czy wszystko gra. Co drugą nockę masz wolną, co drugą – ja. Gdyby coś się działo, musisz zawiadomić dyżurnego, pokój znajduje się na drugim piętrze, zaraz przy izolatkach. Lekarze też się zmieniają – Bury mówił szybko, nie krył, że chciałby mieć to już za sobą.

– Staruszka mówiła o spacerkach.

– Czasem im to organizujemy, a jeśli nie ma pogody, mają również na drugim świetlicę, gdzie spotykają się wszyscy i tak im mija trochę życia. Potem śpią jak zabici – na twarzy pojawił się dwuznaczny uśmiech, był jakiś fałszywy.

Zdałem sobie sprawę, że Bury chce wracać, było to tożsame z tym, iż najprawdopodobniej za chwilę poznam tamtych mężczyzn, których widziałem przez uchylone lekko drzwi. Nie myliłem się, przeszliśmy szybko przez salę, aby Pati nie zdążyła się odezwać, zrobiliśmy to jednak tak sprawnie, że nie zdążyła się nawet zorientować. A może po prostu spała, na co jednak wpadłem dopiero wieczorem, gdy siedziałem u siebie w pokoju i się rozpakowywałem.

Na małym korytarzu stało dwóch mężczyzn, najwyraźniej czekali na nas, obaj byli solidnie zbudowani. Wyglądali na starych znajomych.

– Cześć – rzekł Bury, po czym podał im rękę, odpowiedzieli

tym samym. – To jest Cygan, nowy – zaśmiał się, zobaczyłem, jak wymieniają się spojrzeniami. Wtedy pomyślałem sobie, czy i ja kiedyś będę zachowywał się podobnie? Może praca w tym miejscu tak na ludzi działała? Czy byłem bliski prawdy? Ach, odpowiedź była bardziej skomplikowana, niż by się mogło wydawać.

– Jacek Piekarek – przedstawił się mężczyzna o wielkich zakolach na głowie, jego brązowe, krótko przyszczyżone włosy tworzyły dość zabawny kształt, ponieważ jedynie niewielki pasek o szerokości około trzech centymetrów sięgał czubka głowy, a reszta jakby powoli spływała na tył pod wpływem sił grawitacji. Na twarzy widniał trzydniowy zarost.

– Miło mi – odpowiedziałem, lecz starszy ode mnie o jakieś dziesięć lat mężczyzna nawet się nie uśmiechnął. Przyznam, że to zaczęło mnie już trochę męczyć. Aż się bałem, co zrobi ten, którego jeszcze nie poznałem.

– Ja z kolei nazywam się Marcin Cwalina – uśmiechnął się, lecz jego oczy nie brały w tym udziału. Nie, musiałem przyznać, iż ten ostatni wyglądał z nich najbardziej osobliwie. Najdziwniejsze były właśnie oczy, dość głęboko osadzone, absolutnie czarne, do tego dochodziły brwi, które przypominały literę V. Wszystko natomiast wyglądało jakoś złowrogo. Mimo iż facet był ode mnie niższy, spoglądał na mnie jak z góry, głowę miał nieco pochyloną do przodu, lekko spuszczoną, włosy dłuższe od pozostałych czesane w lewo i gdyby nie to, najprawdopodobniej nigdy nie zauważyłbym tatuażu, przedstawiał chyba jakąś liczbę. Tak, dziewiętnaście. Nie miałem jednak ochoty pytać, co to oznacza, po prostu już mi się nie chciało.

– Długo tu pracujecie? – spytałem bardziej z grzeczności niż z ciekawości, liczyłem, że odpowie mi Piekarek, gdyż Cwalina był najwyraźniej od niego młodszy, przynajmniej tak wyglądał.

– Byliśmy tu jeszcze przed zatonięciem Titanica – odpowiedział jednak Cwalina, uśmiechając się do Burego, najwidoczniej znał dokładną datę zatrudnienia salowego.

Bury przez ten czas nic nie mówił, przysłuchiwał się rozmowie jakże bogatej w treść i informacje pomagające mi w ewentualnym zaaklimatyzowaniu się. Czulem, że mężczyźni tworzyli pewną gru-

pę, w której nie było już wolnym miejsc, a gdyby miało się kiedyś znaleźć, musieliby mnie chyba sprawdzić lub coś tam takiego podobnego. Ale póki co, znajdowałem się poza tym wszystkim. Może i dobrze? Wtedy nie byłem tego pewny, teraz to całkiem inna historia.

To było chyba tyle. Mężczyźni z udawanym żalem pożegnali się, tłumacząc, że mają coś do zrobienia. Sam Bury spojrział na mnie, jakby chciał mi powiedzieć, że wiem, gdzie mam swój pokój, więc powinienem się tam teraz udać.

– Co znajduje się z tej strony? – spytałem, pokazując lewą stronę piętra; zrobiłem to raczej ze złośliwości, domyślałem się, że tam także leżą pacjenci.

– To samo – odpowiedział sucho, po czym zszedł po schodach na dół.

Stałem przez chwilę sam i zastanawiałem się, czy to jednak dobrze, że tu będę pracował. Najprawdopodobniej za parę lat również będę takim dziwakiem, który będzie chodził nadęty i spoglądał złowrogo na ludzi. Ach, zapomniałem, że będę jeszcze stwarzał pozory grzecznego chłopczyka, codziennie świeża koszula, zapięta na wszystkie guziki. Czy już wszystko? Nie, zacznę łysieć lub zrobię sobie tatuaż. Gdzie? Gdziekolwiek.

Cóż, trzeba byłoby się kiedyś rozpakować...